

— Już tu bym dłużej nie wytrzymał, gdyby pan nie był przyjechał — rzecze Maciej.

— Czy się co stało, stary? — zapytał pan.

— To nie, ale od wyjazdu pana, to ani oka nie mogłem zamknąć.

— Kłóciłeś się znów z kobietami!

— Gdzie tam, panie! Uciekam przed niemi, jak przed zarazą. A bo to się człowiek z nimi dogada. Czy pan pozwoli herbaty?

— Zrób herbaty i przynieś wina ze dwie flaszki. Jeść nic nie będę.

— A gdzie nakryć?

— Przynieś to do sypialnego pokoju.

Pan Zygmunt udał się do swego pokoju, rozebrał i w negliżu oczekiwał Macieja. Ten zaś nie dał swemu panu długa na siebie czekać. Nie minęło pół godziny. Maciej dźwiga samowar, otwiera drzwi do sali, o której wyżej mówiliśmy. Lecz zaledwie przystąpił próg, rzuca z okrzykiem — Jezus, Marjo! samowar na ziemię i ucieka po schodach na dół.

Pan Zygmunt udaje przerażonego, ubiera się prędko i biegnie za sługą. W kuchni siedzi na pół omdlały i blady jak trup Maciej, a około niego wszystka służba. Na żadne zapytanie nie odpowiadał. Oczyma tylko zdawał się czegoś szukać.

Co ci to, Macieju? — pyta pan.

— Jezus... Marja... panie... tam w sali u góry... w imię Ojca i Syna... — ucichł.

— Co w sali? Gdzie, mów! Może złodzieje? Co?

— Nie, nie... nie..

— Więc cóż? — pyta pan.

— Matko Boska Częstochowska, ratuj...

— Ależ człowieku! gadaj, co to było...

— Wody — wody święconej...

— Cóż to znaczy, stary? czyś oszalał?

— Nie, panie, widziałem... Jezus, Marja... widziałem djabła...

Jak grom padły te słowa pomiędzy kobiety. Rozpierzchły się na wszystkie strony. Najwięcej przerażenia okazywała gospodyni. Czempredziej zawołała resztę sług i zaczęła głośno odmawiać różaniec.

Tego najmniej spodziewał się pan Zygmunt. Nie myślał, że stary wojak, jak Maciej, tak się przestraszy.

Na pozór zaczął się śmiać i wezwał go, aby zawołał stróża i we trójkę udali się do góry. Przejrzeli każdy kącik, ale djabła nie było nigdzie. Nawet szafy pan Zygmunt pootwierał, ale i tu go nie było.

— No, widzisz stary, że to urojenie — rzecze łagodnie pan Zygmunt, siłacy się na udawanie spokojnego.

— Może być — odpowiada Maciej — ale pan, wyjeżdżając nagadał mi tyle o tym biesu, żeś cały czas nie miał spokoju.

— No, idź stary i połóż się spać, bo to już północ. — Na zegarze była właśnie dwunasta.

— Ale jak z tą herbatą?

— Na dziś już się obejść.

Ledwie się drzwi za Maciejem zamknęły, pobiegnął Zygmunt czempredziej do znanej nam szafy, aby od dalszych ukazywań się powstrzymać swego przyjaciela. Lecz ku wielkiemu swemu zdziwieniu, nie zastał go tam więcej.

— Przecież u kata nie drapnął — pomyślał pan Zygmunt.

W tej chwili dał się słyszeć przeraźliwy krzyk Macieja i szybkie kroki biegnącego do góry. Jak strzała wpada Maciej do sypialni pana i jakając się od przerażenia woła:

— Panie... Jezus... Marja... on leży w moim łóżku i pali fajkę... Po księdza, bo umrę. Zlituj się pan nad starym... wiernym sługą...

Ledwie pan Zygmunt zdążył przemówić słówko, aż naraz dał się słyszeć przeraźliwy krzyk kobiety.

Dotąd spokojny i śmiejący się w duszy Zygmunt, zaczął się naprawdę niepokoić. Przed nim w klęczącej postawie błaga Maciej o ratunek, zanim wpada w negliżu, z rozpuszczonymi włosami gospodyni i wrzeszczy na całe gardło:

— Wielmożny panie, jest — jest; widziałam go w łóżku... Matko Boska, co tu się w tym domu dzieje...

— Kto jest gdzie? — pyta p. Zygmunt.

— Wielmożny panie! Słyszałam krzyk Macieja, bom jeszcze nie spała... Myślałam, że mu się co stało i poszłam do góry. Otwieram drzwi... a on... w imię Ojca... i Syna... wylazł z łóżka z fajką...

— Kto? Czyś oszalała!...

— Djabeł... w imię Ojca i Syna... wielmożny panie.

— Zapal tu w sali światło — zawołał Zygmunt.

Stary się podniósł, ale ręka mu tak drżała, że ani lampy, ani świecy nie mógł zapalić. Pomogła mu dopiero gospodyni, na którą stary z niedowierzaniem z boku patrzył.

Tymczasem rozbudziła się służba, nie mogąc pojąć, co się dzieje.

Mniemany zaś djabeł, widząc, że ze zabawki tej mogą wynikać niemiłe dla jego przyjaciela następstwa, chciał niespostrzeżenie przedostać się bocznem wejściem do sali i ukryć w szafie. Przeszedł szybko długi korytarz, aby z drugiej strony dostać się do góry.

Tymczasem stróż, widząc oświecony dwór, sądził, że tam się coś niezwykłego dzieć musi. Otwiera boczne drzwi, do których tylko on i jego pan mieli klucze i chce wejść do Macieja, aby go zapytać o powód niezwykłego ruchu we dworze. W tej chwili kiedy stanął na progu, przesunął się po schodach mniemany djabeł. Psy żałośnie zawyły i cofnęły się w tył. Stróż zaś rzuca pęk kluczy na ziemię i pada z przerażenia.

Z góry schodzi pan Zygmunt, aby djabła obejrzeć. Za nim w milczeniu postępuje Maciej i znenawidzona przez niego gospodyni.

Schodząc na dół, spostrzega Maciej otwarte boczne drzwi.

— Widzi pan, uciekł tu tędy, bo drzwi otwarte — woła Maciej.

Schodzą na dół i ku wielkiemu swemu zdziwieniu spostrzegają leżącego na ziemi stróża, szepczącego ostatnie słowa pieśni — Kto się w opiekę...

Stróż nie mógł słowa wymówić. Jego własne psy nie chciały się do niego zbliżyć. Podniósł się wreszcie i z wyjątkiem prośby, aby tę noc razem z nim Bartek, pastuch, spędził więcej powiedzieć nie chciał.

Zaniepokojony pan Zygmunt, radził się pomodlić i iść spać, dodając, że to tylko przywidzenie.

— Za często djabłów wspominiacie, wciąż was sumienie straszy.

Uspokojono się też i po odmówieniu różańca, wszyscy poszli spać. Maciej zamiast u siebie, położył się w pokoju u pana na sofie, ale jak opowiadał rano, ani oka zmrużyć nie mógł.

* * *

Nazajutrz rano Maciej, gospodyni i stróż prosili Zygmunta, aby mogli iść do spowiedzi. Nie bronił im tego, bo pragnął w domu zgody, a tej nie było. Ci właśnie najczęściej djablami się traktowali i zgodzić nie mogli. Gospodyni była już nie młodą wdową; Maciej starym kawalerem: stróż zaś miał drugą żonę, z którą żył nie koniecznie w zgodzie i dlatego nienawidził wdowy. Maciej zaś rozkochał się był dawniej w czterdziestoletniej wdowie, której chciał oddać serce i majątek, ale ta sromotnie go opuściła. Ztąd ta nienawiść i kłótnie, których pan Zygmunt, żyjący ze wszystkimi w zgodzie, strasznie niecierpiał. Najwięcej gniewały go kłatwy i wzywanie djabła. Chciał więc użyć fortelu, aby służbę od kłatwy odzwyczaić i do zgodnego ze sobą obcowania nakłonić. Użył więc w tym celu swego przyjaciela ze sąsiedniej wioski, dla którego umyślnie aż do miasta pojechał po kostjum djabła. Próba, jak widzieliśmy, udała się nad spodziewanie.

Wrogowie się pogodzili i dali słowo, że od tego dnia, t. j. od dnia spowiedzi już się nie będą ze sobą kłócili, a co najważniejsze, że nigdy djabłów w sporze wzywać nie będą. W części dotrzymali słowa. Stróż odtąd żył z żoną w zgodzie. Gospodyni w kieszeni nosiła święconą wodę, a tary Maciej nigdy do

kuchni nie zaglądał. Kropielniczkę z wodą święconą zawiesił nad łóżkiem, ściany poobwieszał obrazami świętych, a na każdym rogu łóżka zawiesił różaniec. I rzeczywiście zgodą panowała aż do wiosny. Uradowany taką zmianą swych sług, pan Zygmunt podwyższył wszystkim zasługi.

Chciało nieszczęście, że gosposi kury wpadły pewnego dnia na klomby przede dworem świeżo obsiane i straszne zrządziły spustoszenie. Rozgniewany Maciej położył z nich kilka trupem i tak na nowo zaczął djablami miotać, aż powracający w tej chwili z pola pan Zygmunt, musiał położyć koniec tej kłatwie, wzywając go do milczenia.

— Widzisz, znów djabłów wzywasz! Strzeż się, abys ich nie zobaczył drugi raz.

— Panie, ady to gorzej, jak z.... Tej babie z temi przeklętymi kurami, to cała artylerja moskala nie da rady. Złe z nią w dom wstąpiło.

— Uspokój się, stary. Ogrodnik jest na to, aby utrzymał porządek. Ty się nie gniewaj i nie klnij.

Słowa te gniewały Macieja. Nie odpowiedział też nic. Poszedł do dworu, mrużąc sobie coś pod nosem. Od tej chwili na nowo zaczęły się walki na słowa pomiędzy Maciejem, a gospodynią. Maciej chciał ją oddalić, ale pan Zygmunt stanowczo temu się oparł. To jeszcze bardziej gniewało starego i jeszcze częstsze sprzeczki wywoływało. Stary był nieprzebragany i do tego stopnia zdesperowanym, że chciał opuścić służbę, byle nie być z tą babą razem, jak mawiał. I byłby swój zamiar wykonał, gdyby nie nieprzewidziany wypadek od tego go nie odwiódł.

W wigilią imienin pana Zygmunta, prosił o zwolnienie z obowiązków. Pan Zygmunt przyrzekł żądaniu jego uczynić zadość, lecz dopiero po imieninach, na których dużo spodziewał się gości.

Przeważnie panowie z sąsiedztwa życzenia składać mu przybyli. Nie brakowało i pań, lecz te były jego krewnymi, więc nie dziwiono się, że go czasem i panie odwiedziły.

Wieczorem, w dzień imienin, wysłał pan Zygmunt z ważnym listem Macieja do miasta, oddalonego o dwie mile blisko od wioski M. Maciej, stary kawalerzysta, najchętniej jeździł do miasta konno.

Kazał tedy okulić swego siwka i dalej w drogę. Najulubieńsza droga dla Macieja była przez las, choć mógł jechać i głównym traktem, inną stroną. Odległość była równa.

Kiedy poczciwy Maciej już był blisko o połowę drogi od miasta z powrotem, usłyszał po za sobą pędzącego jeźdźca. Zwolnił kroku i czekał, aż go jeździec nie wyprzedzi, lecz temu jakoś nie było spieszno. Jechał krok w krok za Maciejem. To go trochę rozdrażniło. Przystanął i obejrzał się po za siebie, lecz w tej chwili spał konia ostrogami i siekł boki szpicrutą. Siwek jak strzała pędzi naprzód, lecz obcy za nim nie ustawał. Szalona gonitwa trwała przez całą drogę. Maciej zdyszany wpada na dziedziniec z okrzykiem zgrozy, zeskakuje z konia i jak szalony pędzi do domu. Zatrzaśnięcie drzwi zwróciło uwagę figlarza Zygmunta. Wybiegł też czempredziej na dziedziniec, aby zapytać Macieja o odpowiedź. Lecz ten oparty o drzwi, stał nieruchomy bez czapki i jednego buta.

— Cóż się tam znów stało? — pyta Zygmunt. — Jak ty wyglądasz?

— Panie złoty! Bóg mnie na stare lata karze. W imię Ojca i Syna... ten bies, co to tu był rok blisko temu u nas, znów mi się pokazał... Gonił mnie na karym koniu... Widzi pan, but został w strzemieniu, czapka w lesie, a te flaszeczki z apteki wyleciały mi z kieszeni.

— No, gdzież on jest?

— A kaduk wie, dokąd poleciał...

— Tak, stary, teraz widzisz sam, że z djablami nie trzeba wojować. Zawszem cię ostrzegał, ale nie na długo to pomogło. Weź Boga na pomoc, nie wzywaj więcej złych duchów, żyj w zgodzie, a żadnych widzeń mieć nie będziesz. Zapamiętaj to sobie na przyszłość i jak opuścisz mój dwór i w inną pójdziesz służbę, jak tego pragniesz, to staraj się zawsze unikać kłótni i nie klnij,